

Kronika tygodniowa.

Los kronikarza, zwłaszcza w obecnych czasach, nie jest wcale do pozazdroszczenia, jak to zresztą miałem sposobność w kilku już wojennych kronikach być zaznaczającym. Na domiar złego, nawarzyłem sobie piwa ową obietnicą wybrania się na pole walki, a choć plyn Gambrynusowy lubię (widocznie kronikarz wychowany był na flaszczech!... przyp. zecera), to w każdym razie nie własnej fabrykacji.

Kto mnie spotka, zna mnie, czy nie, zapytuje, czym już wyjechał, czym przypadkiem nie zginął, kiedy wróciłem, co widziałem. Nadto zasypują mnie P. T. Czytelnicy listami, w których dowiadują się o to samo. To jedno dobre, iż korespondencje te z zasady się spażniają (nasza poczta, która w czasie pokoju zawsze szwankowała i podczas wojny nie miała czasu się poprawić).

Jednym słowem szarpią mnie wszyscy, niczem psi ród biednego dziada i jeśli ze zmartwienia nie umrę, jak ów margrabia San Giuliano, któremu neutralność Włoch zaczęła już wylać bokami, to w każdym razie gotów jestem nabawić się jakiej paskudnej choroby, dajmy na to... nerwicy szrapnelowej.

Jest to słabość dotąd zupełnie w medycynie nieznaną, nie też dziwną, iż, wyczytawszy o niej w jednym z pism codziennych, rozpocząłem wertowanie podręczników chorób nerwowych, encyklopedy i t. d., nigdzie jednak z nią się nie spotkałem. Wobec tego poprosiłem o wywiad jedną z naszych powag naukowych na tem polu i dowiedziałem się od niej, iż obecnie można spotkać dwie jej odmiany.

Pierwsza, o przebiegu bardziej ostrym, grasuje na polu walki, jakie zaś są jej objawy, wie każdy, kto czytał ów wspomniany wyżej artykuł, od siebie dodam tylko tyle, iż zawleczoną została prawdopodobnie z Japonii, często bowiem łączy się z bardzo poważnym złotem niebezpieczeństwem.

Drugą odmianę spotykamy zazwyczaj u tych, którzy na wojnie nigdy nie byli, mimo to przecież znają się znakomicie na nowoczesnej strategii i n. p. o szrapnelach i ich skutkach potrafią gadać przez kilka godzin z rzędu. To tylko jest ciekawe i dotychczas nie zbadane naukowo, iż w danym wypadku objawy wysokiego zdenerwowania występują z zasady nie u gadającego, lecz u słuchaczy. Można tu mówić o chroniczności, cierpiący bowiem na *Neurosis schrapnelica gadativa*, jeśli nie może rozprawić o szrapnelach, znajdzie sobie w danym wypadku, jeśli natrafi na cierpliwych słuchaczy, inny, również zajmujący temat i cieszy się, jeśli może wiercić bliżnim dziury w brzuchu. Tego rodzaju chorych spotykamy najczęściej w lokalach śniadańkowych i restauracjach, nie brak ich także w cukierniach i kawiarniach, nie też dziwnego, iż fizykat miejski, troszczący się o zdrowie mieszkańców, nie mogąc nawiedzonych chorobą odosobnić, polecił przeprowadzić gruntowną dezynfekcję. Jako płyny odkazające używane bywają: morełówka, pilzner, czarna kawa z rumem i tym podobne.

Dajmy jej jednak spokój, mamy bowiem zająć się czemś ważniejszym, co dotyczy nie tylko poszczególnych jednostek, ale może się dać we znaki całemu społeczeństwu.

W pierwszym więc rzędzie zgłosił się do mnie z zażaleniem jeden z kolegów po piórze i nożycach, iż z chwilą wybuchu wojny podróżowała czekolada, w szczególności zaś Piaseckiego „Danusia“, której używa stale do osładzania sobie gorzkiej doli dziennikarskiej, nabiera po jej użyciu fantazyi i kwieistości stylu, słowem restauruje i odświeża się nią na duchu i na ciele.

Niestety, przechodzi to zakres mych wpływów, mógłbym mu wyrazić tylko gorące współczucie i doradzić, by w tej materii zwrócił się do komisji aprowizacyjnej w magistracie.

Co jednak gorsze, bo bez „Danusi“ niejeden może żyć spokojnie, to okoliczność, iż w niedługim już czasie grozi nam zupełne „wysłęczenie“, to jest brak tych sympatycznych rybek, które spożywaliśmy solone, wędzone, marynowane i t. d. I teraz widzę, że władza autonomiczna miała rację, polecając mieszkańcom Krakowa, by się w śledzie zaopatrywali i obliczając po dziewięć kilogramów na jedną głowę, raczej na jeden żołądek.

Jeśli zaś Szanowny Czytelnik ciekawy, jakie niebezpieczeństwo grozi śledziowemu rodzajowi, to mogę mu służyć informacją, jako bowiem członek czynny Towarzystwa ochrony zwierząt, bez względu na to, czy one żyją na lądzie, w wodzie, czy w powietrzu, zajmuję się wszystkim, co ich dotyczy.

Otóż dowiedziałem się z ust, którym wierzyć

mogę, iż między śledziami panuje także nerwica, tak zwana „minowa“ i to od czasu, gdy wojujące mocarstwa pozakładały właśnie w ojczyźnie śledzi, to jest na Bałtyku, morzu Północnym i w Kanale tyle min, że po prostu każdy z nich boi się wypłynąć ku powierzchni, by nie spowodować wybuchu.

A teraz właśnie jest czas, przeznaczony na miłosne ich figliki, składanie ikry i t. d., nie też dziwnego, iż zdenerwowane grożąc im na każdym kroku niebezpieczeństwem, nie mogą się tem zająć tak pilnie, jak po inne lata. Także i młode pokolenie, pochodzące od zdenerwowanych rodziców, nie będzie tak smaczne, jak być powinno, pomijając już okoliczność, iż i rybacy, zajmujący się połowem śledzi od czerwca do kwietnia, z powodu obawy przed minami nie mogą wypłynąć na morze, większość ich służy zresztą w wojsku, więc o śledziach nie myśl.

Neutralne są jedynie wody holenderskie i brzegi Danii i Norwegii, nie wiem przecież, czy o tem w odpowiedni sposób śledzie poinformowano, by wiedziały, dokąd, nie narażając się na pewną śmierć, mogłyby się udać na odbycie tarła.

Konferencya pokojowa w Hadze i Towarzystwo ochrony zwierząt powinny zabrać głos w tej kwestyi, zwłaszcza, że niebezpieczeństwo grozi nie tylko śledziom, ale n. p. i wielorybom, których już coraz mniej na wodach północnych się spotyka.

Taki, nie przeczuwający nic złego, olbrzym plynie sobie poważnie, nagle najeżdża na minę... Następuje straszliwy wybuch, z kolosalnego cielska robi się w jednym momencie gulasz, służący wprawdzie za pokarm innym morskim zwierzętom, ale o jednego wieloryba już mniej!

A to szkoda, nawet bardzo wielka szkoda!

I kto wie, czy już na przyszły rok nie będzie u nas trudniej o śledzia prosto z beczki! Na taki zbytek będą mogli pozwolić sobie chyba milionerzy, jeśli wogóle znajdą się jeszcze tacy szczęśliwcy między nami, o ile bowiem widzę i słyszę, teraz już wszyscy narzekają na ciężkie czasy. Cóż więc dopiero będzie za kilka miesięcy?...

— Nowe moratorium! — ktoś mi może odpowie i nie minie się z prawdą. Krakowscy adwokaci dziś już chodzą, jak struci i myślą nad wynalezieniem sobie na razie jakiegos popłatniejszego zajęcia, obiecując sobie natomiast, iż wszystko odbiją zawiązką po ukończeniu wojny, gdy sprawy rozmaite posypią się, jak z rogu obfitości.

Lecz owa wojna, tak, jak dziś przynajmniej rzezy stoją, ani myśli się rychło zakończyć. Anglicy obiecują Francuzom dalszy ciąg zamorskich posiłków na wiosnę, resztę zaś dopiero przy końcu roku 1915, kilka razy będziemy więc mieli jeszcze sposobność odnawiania moratorium, które, mojem przynajmniej zdaniem, o tyle niefortunnie jest pomyślane i w czyn wprowadzone, iż nie uwzględnia, że sytuacja w miarę dłuższego trwania wojny staje się coraz gorszą, a ludność kraju coraz mniej wypłacalną.

Pocieszajmy się przecież myślą, że tyle już przeżyliśmy, przeżyjemy więc i owe moratoria i doczekamy szczęśliwych czasów, iż za dwa lub trzy centy będzie można znowu kupić całego śledzia wraz z głową!

Najbardziej martwi mnie wiadomość, którą czytałem w dziennikach, iż komitet, rozdzielający nagrody z fundacji Nobla, postanowił na rok bieżący nie przyznać nikomu nagrody pokojowej. Ja zadowolilibym się już i przedpokojową. Jeżeli taka wogóle istnieje, a chyba każdy musi przyznać, że w sprawie utrzymania pokoju europejskiego, a nawet światowego, wielkie zasługi już położyłem i niezawodnie jeszcze położę.

Dowadywałem się, kto o tę nagrodę mógłby kompetować, powiedziano mi, iż po śmierci bar. Berty Suttner ja jestem jedynym kandydatem.

Trzeba jednak mieć takiego pecha, jakiego ja mam! Właśnie dlatego, że mógłbym być postawionym *unico loco*, tego roku nagrody nikomu się nie da.

Lecz nie tylko tutaj pech mnie przesładowuje, zupełnie to samo spotkało mnie podczas starań o tak zwaną pożyczkę ewakuacyjną.

Swojego czasu, gdy spodziewano się w Krakowie odwiedzin nieproszonych gości, ogłosił magistrat, iż postarał się o fundusz, z którego będzie udzielał pożyczek ewakuacyjnych. Były one przeznaczone dla tych, którzy chcieli zrobić wypróżnienie, nie też dziwnego, że zgłosiła się cała masa... powiedzmy takich, co tego nie potrzebowali.

Informowałem się, dla kogo one są właściwie, raz mówiono, że dla tych, którzy chcieliby wyjechać, ale nie mają na to środków, inni twierdzili natomiast (a tych było więcej), iż z funduszu tego czerpać mogą ci, którzy posiadają kapitały, ale nie mogą ich uruchomić.

Ponieważ należę do obu kategorii, gdyż po pierwsze, w kieszeni mam zawsze płótno, a nieraz (dzięki

troskliwości mej małżonki) i dziurę, po drugie zaś kapitałów swych uruchomić nie potrafię, gdyż są one cudzą własnością, a ja spłacam je tylko ratami, jako dłużnik, udałem się do magistratu, by prosić o blankiet na pożyczkę.

Z góry jednak zapewniono mnie, że szkoda mojej fatygi, jeśli nie mam w komisji dobrego znajomego, któryby mnie poparł, popyt bowiem na gotówkę jest ogromny.

— A dokąd pan wyjeżdża? — zapytał mnie urzędnik.

— Na południe... — odparłem.

— Proszę bliżej określić!

— Hm... Do Galicyi...

— Miejscowość?

— ...Podgórze!... — wyszeptalem, rumieniąc się, jak panienka, gdy ją kto przyłapie na dłubaniu w nosku.

Trzeba zaś wiedzieć, że miałem zamiary bardzo czyste, czystsze, niż wielu innych, którzy się o pożyczkę podali i otrzymali takową. Chciałem, ponieważ pożyczka przeznaczoną jest tylko dla tych, którzy Kraków opuszczają, po zgarnięciu gotówki do kieszeni pojechać tramwajem na Podgórze, stamtąd przejść na trzeci most i powrócić ku Rynkowi na bombkę „ewakuacyjną“.

Stało się jednak, jak mi przepowiedziano. Ponieważ nie miałem protekcji żadnego z panów radców miejskich, odprawiono mnie z kwitkiem, pożyczki otrzymali natomiast tacy „biedni“ ludzie jak kamienicznicy, mecenasi, dyrektorzy różnych instytucji, bogatsi dziennikarze, zamożni artyści i t. d., którzy prosto z kasy miejskiej, nie fatygując się nawet tak daleko, jak ja, powędrowali „pod Palmę“ i tam krzepili się pilznerem, jako spragnieni podróży.

— Łaskawco! — rzekę do jednego z nich. — Przecież to pożyczka ewakuacyjna...

— Wiem o tem! — odpowiedział — Ewakuacja oznacza wypróżnienie, my też wypróżniliśmy kasę miejską. Jechać ani myślę. Wszak już przysłowie mówi: „Wszędzie dobrze, w domu najlepiej“.

Gdy mi potem ktoś tam oświadczył, kto ma w magistracie stosunki, że po wojnie nie będzie się żądać zwrotu tej pożyczki, poszedłem po rozum do głowy, iż opłaci się w tym wypadku nawet i wyjechać, jeśli człowiek uszczknie z jakich pięćset koronek, jak to się stało udziałem jednego z mych przyjaciół politycznych (n. b. krakowski demokrat).

Walę więc z powrotem do pałacu Wielopolskich, powiadam, że już zdecydowałem się na całkiem autentyczny wyjazd z Krakowa, a oni mi na to:

— Bardzo żałujemy! Fundusz już wyczerpany! Trzeba się było pospieszyć!...

I spaliło mi na panewce, śmieją się też ze mnie ci, którzy wzięli pożyczki i siedzą w Krakowie. Najbardziej zaś dworuje sobie jeden, który opowiada, że za te pieniądze codziennie po południu jeździ do Metzu, drugi zaś, że udaje się w stronę Smoleńska.

Obaj nie kłamią, każdy bowiem Krakowianin wie, że „trzeci Metz“, czyli tak zwany „Czarny Osioł“, to ogródek podmiejski, dokąd się chodzi na wino austriackie i kurczęta, Smoleńsk zaś, to dzielnica, gdzie właśnie mieszka ten drugi.

W przyszłości będę już ostrożniejszy, zgłoszę się jeden z pierwszych, a przedtem postaram się o protekcję, bodaj jakiego wpływowego woźnego, bez protekcji bowiem w naszej autonomii nic nie zdziałasz. Co najwyżej powiedzą ci: „Kajś ta włoż?“...

Skoro już mowa o pechu, który mnie przesładowuje, to skonstatować należy, że stał się on widocznie epidemicznym. Różnych „pechowców“ spotkasz na każdym kroku.

Przedewszystkiem więc narzeka na „pecha“ moja magnifika, która od miesiąca czeka nadarmo na tę komisję, mającą oglądać zapasy, nagromadzone na czas spodziewanego oblężenia. Sąsiadki zapowiedziały, iż nie wolno ich zacząć, dopóki komisja nie poświęci. Piętrzą się więc na stole i pod stołem worki i woreczki, pudełka, puszki i paczusie, cały domowy fraucymer od ósmej rano w pełnej toalecie, bo już od nas zaczyna?... Moja lepsza połowa marzy o tem, że major od komisji podobno kawaler, delegat magistratu wdowiec, może więc Opatrzność pozwoli, że jedna, a niechby i druga z naszych latorośli, zaczynających niestety już wędznąć, wpadła w oko któremu!...

